Czaszka w czaszce

Nadzieja dyrektora Osińskiego, iż wyśpi się spokojnie do rana, a trup równie spokojnie zaczeka na przybycie kogoś z wydziału śledczego, okazała się płonna. I nie dlatego, że Kazimierz zastać miał szefostwo policji w stanie czuwania. Na odwachu spotkał jedynie zaspanego wachmistrza, który nie był w stanie udzielić konkretnej informacji na temat swoich zwierzchników. Pojawienie się posłańca z listem wzbudziło za to zainteresowanie młodego osobnika w cywilu, w wysokim, wytartym cylindrze i równie znoszonym surducie. Siedział przy stole, w migotliwym świetle lampy i udawał, że czyta gazety. Podczas rozmowy dozorcy z wachmistrzem spod cylindra wychynął jego długi nos, a świdrujący wzrok spoczął na liście trzymanym w dłoni Kazimierza.

– Dajcie mi ten list. Oddam jutro samemu naczelnikowi – oświadczył.

– Dyrektor Osiński zlecił, aby dać do ręki albo naczelnikowi, albo Sokorskiemu, adiutantowi. Nikomu innemu.

– Kiedy ich nie ma, ja zastępuję obu! – powiedział twardo osobnik w cylindrze.

– Zapewne jest tak, jak mówicie – odparł przytomnie Kazimierz. – Ale rozkaz to rozkaz. Oddać mogę tylko Lubowidzkiemu lub Sokorskiemu.

– Tutaj ja rozkazuję! – wrzasnął długonosy. – Wachmistrzu! Zakuć tego bezczelnego typa i wrzucić do lochu. Wykonać! Natychmiast!

– Tak jest, panie Birnbaum – odparł policjant, ale czuło się, że nie jest pewien, czy ma spełnić polecenie. Nawet on słyszał o dyrektorze Osińskim i wiedział, że to ważna osoba. Będzie awantura, jak wyjdzie na jaw, że bezpodstawnie zaaresztował pracownika teatru. Birnbaumowi ujdzie na sucho, to ważniak, zaufany naczelnika, a i w zażyłych stosunkach z generałem Rożnieckim. Sam widział kiedyś, jak szef żandarmerii słucha uważnie tego, co Birnbaum ma mu do powiedzenia. Wykręci się więc sianem, a wina spadnie na niego, wachmistrza.

Sytuację – a przede wszystkim własną skórę – uratował sam Kazimierz. Oświadczył, że odda list Birnbaumowi, jeśli tamten pokwituje jego odbiór. Agent Lubowidzkiego zareagował gniewem, ale szybko się zreflektował i przyjął rozsądną w końcu propozycję. Skreślił dwa zdania na skrawku papieru, złożył podpis i oddał posłańcowi.

Sprawa zwłok odkrytych na praktykablu na scenie teatru narodowego znalazła się w rękach dwudziestotrzyletniego zaledwie agenta, Józefa Mateusza Birnbauma. Przeczytawszy notę Osińskiego, ocenił sprawę jako poważną, zbyt poważną, aby przekazać ją wydziałowi śledczemu Lubowidzkiego. Trup, który pojawia się w noc wystawienia sztuki, o której antyrządowym wydźwięku mówiło się w całej Warszawie, podczas której doszło do burd i zamieszek – taki trup musi mieć charakter polityczny. Birnbaum zawyrokował, że najwłaściwszym adresatem tej wiadomości będzie Aleksander Rożniecki. Generał blisko związany

z senatorem Nowosilcowem i wielkim księciem, nada sprawie bieg najkorzystniejszy dla interesów państwowych. Nie tracąc czasu, wybiegł przed ratusz, gdzie pomimo że na wieży biła już godzina druga, dorożki wciąż czekały na pasażerów. Z pobliskich szynków i restauracji wychodzili noworoczni biesiadnicy, ale widać też było takich, którzy dopiero co zaczynali zabawę. Warszawa była jednym z tych miast, które chodziło spać dopiero o świcie.

Już około godziny trzeciej nad ranem, wskutek szybkiego działania agenta Birnbauma, przed gmachem teatru pojawili się żandarmi generała Rożnieckiego. Kazimierz spodziewał się podobnej wizyty, więc natychmiast otworzył im bramę. Gorzej było z przywołaniem dyrektora Osińskiego. Dozorca chciał mu oszczędzić wyrywania z pierwszego, najgłębszego snu, ale sam nie mógł go zastąpić, gdyż nie wiedział nawet, gdzie szukać zwłok. Obudził obie służące Osińskich, które udały się do sypialni, aby obudzić z kolei panią dyrektorową. Rozalia nie spała jednak; relacja męża o znalezisku na praktykablu (które usprawiedliwić miało czas spędzony z Wodzińską) poruszyła jej wyobraźnię i tak już pobudzoną lekturą licznych romansów gotyckich. Teatr, w którym się urodziła i wychowała, nie kojarzył się jej jak dotąd z miejscem nawiedzonym i przeklętym. Widać, pogląd ten należało zrewidować. Teatr, jak się okazało, mógł być również miejscem i świadkiem zbrodni. Bo to, że martwa ręka, którą opisał jej Ludwik, należała do ofiary okrutnej przemocy, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, choć mąż pocieszał się, że może to któryś ze statystów zmarł w końcowej fazie przedstawienia. Śmierć mogła zabrać go w chwili, gdy wszyscy – aktorzy i robiący tłum

statyści – opuszczali scenę. Rozalia, dzięki lekturze licznych powieści grozy, takich jak *Mnich* czy *Italczyk*, wiedziała jednak, że martwa ręka wychylająca się z praktykablu czy, powiedzmy, zza żywopłotu, nie może należeć do kogoś, kto zmarł po prostu na apopleksję.

Był inny jeszcze powód bezsenności Rozalii. Znała swego męża zbyt dobrze, aby nie wyczuć subtelnych, trudno uchwytnych, przecież rozpoznawalnych symptomów ostatniej zdrady. Nie żeby wydał go zapach perfum tamtej kobiety; Ludwik pozbył się wszystkich zdradzieckich woni, zanim wszedł do wspólnej sypialni. To było coś w geście, w rozmarzonym spojrzeniu, zbyt czułym dotknięciu, które nagle jej przeznaczył. Nie wiedziała jeszcze z kim, nie wiedziała gdzie i kiedy, ale była niemal pewna, że Ludwik uległ swej największej – obok teatru – słabości; uległ nie wiadomo już po raz który. Trzynasty? Siedemnasty? Zresztą, jakie ma znaczenie, który?

Miała wreszcie zasnąć, kiedy do pokoju wsunęła się pokojówka Anetka i pochyliła nad łóżkiem swej pani. Wyszeptała coś nieskładnie na temat nocnej wizyty żandarmów, z czego wynikało przecież, że „pan dyrektor jest bardzo potrzebny".

– Co? Mój mąż Ludwik potrzebny? Oczywiście, natychmiast go budzę!

Podbiegła do łóżka pod przeciwną ścianą sypialni, pochyliła się nad niewielką postacią szczelnie owiniętą kołdrą i gwałtownie nią potrząsnęła. Kiedy nie dało to zamierzonego rezultatu, sięgnęła po wypróbowaną, choć drastyczną metodę: zdarła szlafmycę z głowy śpiącego. Ludwik zerwał się z pościeli.

o

Widok, jaki po zapaleniu światła ukazał się oczom Osińskiego, a także trzem przybyłym żandarmom oraz agentowi w cywilu Birnbaumowi, zaskoczył i przestraszył wszystkich. Na praktykablu leżało ciało. Martwe ciało mężczyzny w eleganckim, czarnym fraku. Nie był to przecież zwyczajny trup. Był to korpus pozbawiony głowy!

Zaczęli rozglądać się za brakującą częścią ciała. Jednak ani na scenie, ani pod nią, ani gdziekolwiek indziej za kulisami czy w garderobach niczego nie znaleźli. Nie było głowy, nie było też narzędzia zbrodni. Oficer żandarmów, który przedstawił się jako kapitan Siwiński, powiedział, że podczas służby w armii podczas kampanii moskiewskiej, był świadkiem egzekucji przez ścięcie. Nie dysponowano gilotyną, więc egzekucję wykonano toporem.

– Ciało strasznie krwawiło, a tu, pan zobaczy, dyrektorze, prawie nie widać krwi. A głowa została fachowo, jednym ciosem odjęta!

Osiński walczył z atakującymi go mdłościami.

– Sposobu „odjęcia" głowy wolę nie badać – wykrztusił. – A ustalenia pana kapitana przyjmuję do wiadomości.

Nie koniec na tym. Dociekliwy oficer chciał teraz sprawdzić, co ofiara trzyma w zaciśniętej dłoni. Zesztywniałe na kamień palce nie chciały się jednak rozchylić. Siwiński poprosił jednego z asystentów o nóż. Za jego pomocą, choć z najwyższym trudem, rozchylił kolejno, kalecząc je, palce ofiary. Dłoń ukazała wreszcie swą zawartość... Była nią moneta, srebrna moneta! Miejmy nadzieję, że to nie talar z 1533 roku, przemknęło przez głowę Osińskiemu. Nie

mogła nie przypomnieć mu się srebrna moneta znaleziona w czaszce odkrytej w loży numer pięć.

Moneta wyjęta z dłoni bezgłowego nieboszczyka okazała się srebrną dwuzłotówką, bez żadnego rysunku, z datą 1813. Kapitan Siwiński przyjrzał się uważnie znalezisku.

– Mamy tu monetę bitą przez dowództwo obrony Zamościa podczas oblężenia rosyjskiego – zawyrokował. – Obrona twierdzy trwała od lutego do listopada 1813 roku. Dokładnie do 25 listopada, kiedy to po dziesięciu miesiącach walki załoga podpisała umowę o honorowej kapitulacji. Dowodził nami generał Maurycy Hauke, a ja byłem jeszcze w randze porucznika. Służyłem w 13. Pułku Piechoty.

Wspomnienie Zamościa poruszyło kapitana.

– Przeżyliśmy – wyznał – prawdziwe piekło! Do lipca Rosjanie przypuszczali gwałtowne szturmy, ale nie pozostawaliśmy im dłużni. Potem jednak przeciwnik ściągnął znaczne posiłki, a my nie mieliśmy już sił na kontrataki. Podczas oblężenia zjedliśmy wszystkie zwierzęta, zaczęły szerzyć się choroby. Ludziom wypadały zęby i włosy, niektórzy ślepli. Pojawiła się dezercja. My jednak czekaliśmy na odsiecz – lub na dobre wieści z Niemiec. Tam wielką armię zgromadził znów Napoleon, tam walczyło nasze wojsko pod Poniatowskim. Aż przyszedł feralny dzień 22 października, wieść o klęsce cesarza w bitwie pod Lipskiem. 19 listopada dowództwo twierdzy podjęło decyzję o poddaniu się...

– Kapitanie drogi! Bez wątpienia były to dramatyczne chwile – przerwał mu Osiński. – Ale jaki mają związek z tą oto monetą?

Dyrektorowi nie tyle nie podobała się opowieść o oblężeniu Zamościa, ile fakt, iż młody człowiek w cylindrze, długonosy i podejrzanej konduity, zaczął notować w kajecie w chwili, gdy rozmowa zeszła na ostatnią wojnę. Ani chybi szpieg, który złoży raport komu trzeba, zarówno na kapitana, jak i jego rozmówcę. Wspominanie zasług zdetronizowanego cesarza Francuzów i jego wiernych żołnierzy było w najwyższym stopniu nieroztropne.

Kapitan niezrażony, jakby ignorując obecność szpicla, uśmiechnął się do własnych myśli.

– Nasze dowództwo nie zapomniało o wypłaceniu wojsku zaległego żołdu – powiedział. – Nie dysponowało już pieniędzmi, więc podjęło decyzję o wybiciu własnej monety. Kruszców do jej produkcji, miedzi i srebra, dostarczył skarbiec skonfiskowany franciszkanom i złożony w kolegiacie. Samego srebra było ponad sto sześćdziesiąt funtów i drugie tyle miedzi, a zadanie wybicia monety otrzymał major Machnicki.

Kapitan podsunął Osińskiemu dwuzłotówkę o prostym, niemal prymitywnym napisie.

– Nie jest zbyt piękna, za to przyzwoitej próby srebra. Choć każda partia nieco innej. Monety znajdowały się w obiegu tylko jeden dzień. Żołnierze spłacili nimi wzajemne długi i wynagrodzili okolicznych gospodarzy, którzy borgowali im niemal przez pół roku.

– Dziś, ponad siedem lat po tych wydarzeniach, muszą stanowić cenną pamiątkę! – zauważył Osiński. Dręczyła go wciąż myśl o innym znalezisku: o starej monecie wydobytej z czaszki. Intuicja podpowiadała mu, że oba wydarzenia powinno coś łączyć...

– Sam zachowałem kilka takich monet – zgodził się kapitan Siwiński. – Głównie jednak miedzianych szóstaków. Te srebrne natychmiast wydałem.

Po tym zwierzeniu kapitan powrócił do przerwanych czynności, a szpicel w cylindrze schował notes do kieszeni wytartego surduta. Śledczy przetrząsnął odzienie denata w poszukiwaniu przedmiotów mogących ułatwić jego identyfikację. Znalazł niewiele: spinkę do krawata w bocznej kieszeni fraka, chusteczkę, raczej męską niż kobiecą, z wygrawerowanymi inicjałami N.B., które natychmiast skojarzyły się wszystkim z zesłanym na Wyspę Świętej Heleny ekscesarzem.

Kapitan przystąpił do spisywania protokołu, który dyrektor jako świadek powinien był podpisać. Widząc jednak zmęczenie Osińskiego, kurtuazyjnie zaproponował, aby dalsze zeznania oraz złożenie podpisu przesunąć na następny dzień, to jest wtorek 2 stycznia po południu. Osiński wylewnie podziękował kapitanowi. Na odchodnym, aby pokazać, że pomimo śmiertelnego wyczerpania jest w pełni świadom tego, co się wydarzyło, zauważył:

– Jak na razie jedyną wskazówką co do tożsamości nieboszczyka jest ta srebrna moneta, którą pan, kapitanie, wyjął z jego dłoni.

– Myślę podobnie, dyrektorze! Twierdza zamojska to jeden z tropów, które mogą doprowadzić nas do zabójcy. Mam też nadzieję, że bliscy mężczyzny, kiedy postrzegą jego nieobecność, zaczną go szukać, rozpytywać wokół, a wtedy my wkroczymy do akcji.

Osiński nie podzielał optymizmu kapitana. Skoro sprawcy ukryli głowę swej ofiary, a do teatru podrzucili

sam korpus, to najwyraźniej po to, aby policja nie mogła zidentyfikować ciała. Wiedzieli, że z jakichś powodów nikt nie będzie szukał denata. Inaczej cały trud włożony w ich działania nie miałby sensu. Chyba że – i tu dyrektor jako człowiek teatru i zarazem profesor literatury uruchomił swą wiedzę o ludzkich skłonnościach – chcieli przez fakt zabójstwa coś powiedzieć, coś pokazać. Jeśli bezgłowe ciało było swoistym znakiem, rodzajem komunikatu, to na pewno nie był on adresowany do niego, Ludwika Osińskiego, dyrektora teatru i profesora uniwersytetu. Lecz w takim razie do kogo? Zresztą, mniejsza z tym – spać, spać, na litość Boską, chociaż chwila spokojnego snu!

o

Na szczęście dla Osińskiego miejska ekipa dochodzeniowa, zawiadomiona listem o niepokojącym odkryciu, przybyła dopiero w południe. Bezgłowe ciało odtransportowano do uniwersyteckiego prosektorium przy ulicy Jezuickiej, gdzie mieścił się wydział lekarski. Aktorzy, którzy zebrali się punktualnie o jedenastej, mogli wreszcie – z niemal godzinnym opóźnieniem – przystąpić do pracy. Choć tragedię *Żółkiewski pod Cecorą* reżyserował od początku sam Osiński, to widząc liczne słabości własnej pracy, zaraz po premierze ich usunięcie powierzył doświadczonemu aktorowi i reżyserowi w jednej osobie – Bonaweturze Kudliczowi. Ten zaś zabrał się energicznie do pracy.

Zespół ubrany w ciężkie i niewygodne kostiumy zajął miejsca na deskach. Próbę zaczęto od sceny drugiej pierwszego aktu. Ledwo Ledóchowska zdążyła wypowiedzieć kilka słów swej kwestii, z hukiem otwarły się drzwi par-